

Czesław Drażkiewicz

ul. Poleska 17 m 22.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

magnet Stanisław St. Siarkeo, Białystok

Nazywam się Czesław Drażkiewicz. Urodziłem się w Supraślu 22 stycznia 1930-go roku. Po upadku państwa polskiego w 1939 r. uczęszczałem do szkoły powszechnej z białoruskim językiem nauczania. Nie zdołałem jednak ukończyć żadnej szkoły ani nawet klasy, gdyż 13 kwietnia 1940-go roku zostaliśmy, całą rodziną, aresztowani. Rosjanie przyszli nocą, dokładnie o północy; kilk osobowa grupa żołnierzy z młodym oficerem na czele. Towarzyszył im Polak z Supraśla, którego nazwiska nie pamiętam. Jego rola sprowadzała się do odnajdowania adresów, co jemu, tutaj zamieszkałemu było łatwiejsze niż przybyszom z daleka. Byliśmy częściowo przygotowani na taką ewentualność. Już od dłuższego czasu krążyły wśród mieszkańców miasteczka wiadomości, podawane w najgłębszej tajemnicy i szeptem, informacje o wywózkach. Wiadomo było powszechnie, że wywieziono nauczycieli, pracowników państwowych, gajowyc~~h~~ i t.p. Mimo, że liczyliśmy się z aresztowaniem i mieliśmy przygotowaną na podróż nową, ciepłą odzież, w czasie aresztowania, w najwyższym zdenerwowaniu nakładaliśmy na siebie to, co akurat było pod ręką. W trakcie nerwowej krzątania młody oficer ciągle pokrzykiwał: nie trzeba brać, tam wszystko dostaniecie. Jednak starszy żołnierz zdążył szepnąć mamie na osobności: bierzcie co możecie, tam nic nie dostaniecie.

O godz. 2.00 do naszego domu zwała się druga grupa sowieckich wojskowych z zadaniem aresztowania nas. Typowy, sowiecki bałagan.

Przed dom zajechała furmanka, na którą załadowaliśmy nasze rzeczy. Zapomnieliśmy o uprzednio przygotowanym garnku smalcu, który bardzo nam byłby potrzebny. Wspominaliśmy go przez

całą, długą podróż. Wzięliśmy trochę jedzenia, ubrania i ojca rower. Furmanką przewieziono nas do domu ludowego w Supraślu. Tu spotkaliśmy znajomych: p. Marecką z dziećmi, pp. Szlegier, Szulecką, Jarmołowicz i sporo dzieci, wśród których byłem ja/10lat/ oraz mój brat/12 lat/.

Z naszej rodziny aresztowano mamę i mnie z bratem. Ojca mojego aresztowano kilka miesięcy wcześniej, dokładnie 9-go stycznia 1940-go roku. Od tamtego czasu nie mieliśmy ani od niego ani o nim żadnych wiadomości. Przed wojną pracował w elektrowni ale o jego wcześniejszym aresztowaniu zdecydowały zapewne inne względy. W latach 1920-1922 był komendantem Policji Państwowej w Supraślu a wcześniej członkiem POW. Za to, jak się później okazało był sądzony przez władze radzieckie.

W domu ludowym pozostawaliśmy do godziny 7-mej, kiedy to zajechał samochód ciężarowy i bocznymi drogami przez Jarosówkę, koło wieży ciśnień-wyraźnie omijając Białystok-przewiózł nas do Czarnej Wsi /obecnie Czarna Białostocka/. Tu ulokowano nas w wagonach, które sukcesywnie dopełniano dowożonymi ludźmi do godz. 16.00-tej. Pamiętam, że gdy przejeżdżaliśmy przez Białystok Fabryczny /wówczas Poleski/, słyszeliśmy dzwony kościelne wzywające wiernych na nabożeństwo. W wagonie zapadła smutna cisza a wkrótce rozpoczęto zbiorowe modlitwy.

Nie pamiętam trasy przejazdu. Z całą pewnością jechaliśmy ~~przez~~ przez Waliły. Pierwszy postój wypadł na pewno w Brześciu. Omijając Moskwę przejeżdżaliśmy przez Omsk, Tomsk do Pawłodaru. Podczas podróży potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy pod wagonami a w czasie jazdy - przez dziurę w podłodze wagonu. Kobiety uszyły w tym celu specjalny parawan, aby załatwianie się było mniej krępujące i uciążliwe. Kilkakrotnie otrzymaliśmy gorącą wodę-kipiatok- ale tylko na większych stacjach. Dwukrotnie uraczono nas przypaloną kaszą. I to było

wszystko. Jechaliśmy przez Rosję w okresie Wielkanocnym. Kilkakrotnie, gdy spuszczaaliśmy przez okno koszyk na sznurku, wkładano nam jajka-pisanki i chleb, jeśli pilnujący transportu żołnierze na to pozwolili.

Transport zatrzymał się na stacji w Pawłodarze. Stąd przewieziono nas samochodami ciężarowymi na rynek, ogrodzony deskami. Pamiętam, że było to dokładnie 1-go maja. Tu zaczęto dzielić nas na grupy ale tak, aby pozrywać więzi międzyludzkie zarówno te istniejące od lat jak i te nawiązane w czasie transportu. Ludzi z naszego wagonu podzielono na trzy grupy a żołnierze nie tylko że nie pozwalali przechodzić z jednej grupy do drugiej ale zabraniali nawet porozumiewać się między sobą. Mimo tego, nocą, korzystając z ciemności, przedostaliśmy się do odległej o jakieś 100 metrów grupy, w której było sporo osób z Supraśla i okolic; m.in. p. Szulęcka, jakieś rodziny ze Starosielc oraz z Choroszczy żona oficera, pani Czerwińska. Była też, włączona do naszego wagonu po drodze, chyba z powiatu oszmiańskiego - p. Stasiewicz.

Nazajutrz, 2-go maja zaczęto nas rozwozić w trzy miejsca. My trafiliśmy do sowchozu Kalenińsk, 80 km od Pawłodaru, do czwartej fermy. Aby tam się dostać, należało przeprowić się promem przez Irtysz. Wyładowano nas w pasiołku, na stepie pod gołym niebem i pozostawiono samym sobie. Miejscowi Kazachowie obserwowali nas jak przybyszów z innego świata; nie podchodzili do nas, bali się. Wszechobecna propaganda już wcześniej przedstawiła im nas jako ciemiężców, krwiopijców, wrednych burżujów i wszystko, co w komunistycznym magazynie wyzwisk było do przytoczenia. Tak minął pierwszy dzień. Nikt, dosłownie nikt z miejscowych do nas nie podszedł. Noc, chłodną noc kontynentalną, spędziliśmy pod gołym niebem. Dopiero w drugim dniu zaczęli

zbliżać się ci najodważniejsi. Pierwsze lody głębokiej nieufności zostały przełamane.

Wreszcie pojawił się dyrektor fermy i przydzielił nam do zamieszkania domy Kazachów. Nasza rodzina trafiła szczęśliwie, bo do domu miłych i życzliwie usposobionych ludzi. On był kierownikiem miejscowej straży - nazywał siebie pożarnikiem. Mieszkał z żoną i synem.

Trzeciego dnia wygnano nas do pracy. Kazano wybierać nawóz koński - kiziaki - z olbrzymiej sterty, składanej przez całą zimę. Należało to robić rękoma, wideł tam nie używano. Kazachowie zbiegli się patrzeć, jak ci dziwni przybysze z daleka z tym sobie poradzą. Mając tego świadomość, wzięliśmy się do pracy. Cierpliwie ale i z trudnym do opanowania obrzydzeniem oddzielaliśmy nawóz od trawy. Chcieliśmy im dowieść, że jesteśmy normalnymi ludźmi. Przez cały dzień, ku powszechnemu zaszkoczeniu przebraliśmy całą stertę.

Na następny dzień przewidziano dla nas zajęcia też w nawozie: robienie "cegiełek". Na wyznaczonym uprzednio miejscu składano nawóz i polewano go wodą. Na to kładziono warstwę słomy. Następnie wypuszczano na to woły, które to ugniatały. Tak wymieszaną zawartość ładowano do odpowiednich form i wynoszono na step do suszenia. Po zakończeniu tej pracy Kazachowie doszli do wniosku, że Polacy są zwykłymi ludźmi.

Nasze kobiety, zwłaszcza pochodzące ze wsi, podjęły pracę jako dojarki lub w ogrodnictwie. Nieco starsi chłopcy w wieku 15-17 lat poszli do wyrębu łożyny nad rzeką, którą to łożynę przygotowywano na opał.

Od maja w sowchozie rozpoczynał się okres wypasów - wypędzania bydła w step. Należało zabrać ze sobą cały swój dobytek, bo opuszczano się dom na długie miesiące. W sowchozie pozostawało tylko kilka osób. To była prawdziwa wyprawa. Bydło

wypasano w okolicach, gdzie odnaleziono wodę. Gdy w jednym miejscu woda wysychała, przepędzano bydło w inne, zasobne w wodę miejsce. Woda była najważniejsza. Stada przebywały w odległości 30-40 kilometrów od sowchozu.

O bydło należało dbać, jeśli chciało się uniknąć kłopotów wynikających z posądzenia o sabotaż. Wszystkie stuki były dokładnie policzone. Dobrze było, jeśli weterynarz był ludzkim człowiekiem i stwierdził chobobę. Przy tej okazji można było najeść się do syta. Weterynarz też człowiek. Tu zresztą wszyscy kradli i wszyscy udawali, że wszystko jest tak, jak być powinno.

Moja mama pełniła niebezpieczną funkcję wozaka. Do jej obowiązków należało codzienne odwożenie mleka do masłozawoda czyli do mleczarni. Oznaczało to nocną jazdę krowami do odległej o 30 kilometrów miejscowości; a po stepie buszowały stada wilków. W mleczarni produkowano masło i bryndzę - owczo-krowi ser. Wytwarzający go ludzie nie mogli tego nawet spróbować, chyba że ukradli. Wszystko szło na potrzeby wojska. W tym względzie zasada była prosta: jeśli chciałeś żyć, musiałeś kraść. Już w czasie żniw zakopywano ukradkiem ziarno i dyskretnie, w sobie tylko wiadomy sposób, zaznaczano to miejsce. W zimie, również cichcem, te tajemne schowki opróżniano.

Pracowano tu bez zegara: od świtu do zachodu słońca, w niedziele też. Chodziliśmy w łachmanach. Na nogi wkładaliśmy buty "czarki", miejscowej produkcji: kawałki wołowej skóry odpowiednio uformowane nakładało się na nogi na mokro, najlepiej w wodzie. Następnie wycinano odpowiednie otwory. Nędza zmuszała ludzi do najprzeróżniejszych kombinacji. Na nic zdały się drakońskie kary. Innego wyjścia ludzie przecież nie mieli. Przez pewien czas miałem możliwość przyglądać się temu z blis-

ka. Niemalże w tym uczestniczyłem.

W 1943-cim roku zostałem woźnicą zootechnika. Miałem do swojej dyspozycji 6 koni, bo bez przerwy byłem w drodze, całe lato. Zootechnik musiał bowiem dotrzeć wszędzie. Pewnego razu, dość nieoczekiwanie, dyrektor sowchozu polecił mi odwiedzić prokuratora do rejonowego miasta. Prokurator zatrzymywał się przy każdej fermie, zwanej aułem. Do niego zgłaszał się prezydent miejscowego kołchozu i przedkładał mu akta spraw. Najczęściej sprawy dotyczyły kradzieży krów, owiec i kołchozowego zboża. Sprawy rozstrzygał prokurator, natychmiast i jednoosobowo. Na rozprawę zwoływano wszystkich ludzi, którzy w danej chwili nie pracowali. Oficjalnie chodziło tu o reedukacyjne oddziaływanie wymiaru sprawiedliwości. Tak naprawdę, cel był inny: chodziło o zastraszenie. Wysiłki te były zupełnie bezskuteczne; ludzie nadal kradli bo innego wyjścia nie mieli.

Wyrok, jak wspomniano, ogłaszano natychmiast: rok, dwa, pięć a bywało, że i osiem lat. Ciekawe były okoliczności wykonywania orzeczonej kary. Otóż skazany nie był aresztowany po rozprawie lecz musiał sam zgłosić się do odbycia orzeczonej kary do więzienia w Pawłodarze z tym wszelako zastrzeżeniem, że nie wcześniej jak po zakończeniu prac polowych. Do więzienia szedł sam. Kołchoz nie dawał mu podwody. I tak było w kilkunastu wsiach, do których zajeżdżaliśmy z prokuratorem. Mówiłem niejednokrotnie skazanym: dlaczego nie uciekniesz? Patrzyli na mnie ze zdziwieniem. Uważali, że dalej jest tylko step i tym samym ucieczka jest szaleństwem, jest różn^oznaczna ze śmiercią.

Na skutek długiej jazdy z prokuratorem miałem potem poważne kłopoty. Koń, którym woziłem mojego groźnego pasażera, zachorował. Kiedy wróciłem do sowchozu, ledwie powłóczył no-

gami. O jakiegokolwiek pracy, choćby najłżejszej, nie mogło być nawet mowy. Nazajutrz po moim powrocie koń padł. Postawiono mi zarzut braku należytej staranności w obchodzeniu się z powierzonym mi koniem. Stwierdzono arbitralnie, że konia nadmiernie zgoniłem i to stało się przyczyną jego padnięcia. Nikt nawet nie chciał słuchać moich wyjaśnień, które próbowałem składać, że koń zachorował w czasie podróży. Groził mi proces i oczywiście wyrok. A jednak tym razem dopisało mi szczęście. Gdzieś po miesiącu, idąc przez wieś, spotkałem prokuratora. Podbiegłem do niego i spytałem, czy mnie pamięta. Gdy mnie sobie przypomniał, wyłożyłem mu swój kłopot. Prokurator poświadczył, że mówię prawdę, że w czasie naszej podróży konia traktowałem należycie i że zachorował z jakiegoś innego powodu. To w zupełności wystarczyło, aby mnie od winy i kary uwolnić. Już do końca swojego pobytu na Syberii byłem wozakiem.

Od zimy 1942-go roku wszystkich mieszkańców wsi, nawet dzieci, wyganiano na sniegozadzierzanię czyli nawilgocenie gleby. W stepie ustawiano niewielkie snopki słomy, które zatrzymywały śnieg. Leżał on tu dłużej niż w innych miejscach i tym samym gleba dłużej otrzymywała wilgoć. Już bowiem przy innej okazji mówiłem, jak wielkim problemem jest woda w stepie. Ciekawe i zaskakujące dla Europejczyka było to, że śnieg wkrótco po spadnięciu na ziemię twardniał na skałę. Koń chodził po wierzchu a nie jak u nas, zapadając się w zaspy. Na sniegozadzierzanie wychodziło się rano. Wpadało się w południe aby w pośpiechu przełknąć nieco rzadkiej pochlopki i znowu w step do pracy. A mrozy przekraczały 30 stopni.

Ziemia tu była bardzo urodzajna. Doskonałym tego przykładem była sprawa uprawy arbuzów. Wiosną wyjeżdżaliśmy z beczkowskim w step. Tam, w pustym stepie, wśród traw wysokich "na chłopa", kopaliśmy jamki o głębokości 10-15 cm, do których wrzu-

caliśmy po dwa - trzy ziarenka i zalewaliśmy litrem wody. Tak zasadzaliśmy powierzchnię kilku hektarów. I to już było wszystko. Jesienią, gdy wracaliśmy z wypasów, arbuzy były wielkości dużych dyń.

Arbuzy wykorzystywano w zimie jako paszę dla bydła. W tym celu kopano silosy, rowy głębokie na kilka metrów, szerokie na 4-5 i długości na 30, do których składano warstwami: siano, arbuzy, zalewano wodą i zasypywano solą. Silosy zapełniano przez kilka dni. Zawartość przez cały czas ugniatały pracowite woły. W zimie stąd właśnie czerpano paszę. Dopiero wybieranie kiszonki w zimie było katroróżniczą pracą. Wyciąganie sprasowanych arbułów i siana wymagało znacznej siły. A wszyscy byliśmy niedożywieni i wycieńczeni. Tę pracę pamiętam do dziś.

Pracowałem też, jako dziesięciolatek, przy sianokosach. Nie pozwolono nam kosić, bo to było najłżejsze. Najgorsze było składanie siana w sterty o długości 30-tu metrów i szerokości 4-5m. W to miejsce należało zwieźć siano z powierzchni o promieniu 200 m. Dowożono je na specjalnej belce zwanej "wołokucza", ciągniętej przez pracowite woły. Belka była zaopatrzona w wystające, długie zęby. Powożenie wołami oraz składowanie siana na wołkuczy wymagało sporego doświadczenia. Było też to zajęcie niebezpieczne, bo czasem belka wyslizgiwała się i mogła poturbować ludzi i woły. Tantejsze sianokosy miały nieco inny przebieg niż u nas w Polsce. Trwały nieprzerwanie od wiosny do zimy a nie jak u nas, gdzie zbiera się pierwszy pokos, następnie drugi. Tam hektarów było tak dużo, że w wykoszone w tym roku miejsce już nie wracano.

Przyjemności, nawet dla dzieci, nie było żadnych. Jedyłą

odmiennością były wieczorne spotkania starszych i wspomnienia starszych, jak to w Polsce było. Takie pogaduszki odbywały się co wieczór w innym domu. Mieszkaliśmy w szałasach skleconych z łożyny, zwanej tutaj tauł i jako tako okrytych sianem. Strasznie nam dokuczały komary; dostawały się wszędzie i cięży niemiłosiernie. W pracy nie mieliśmy żadnych przerw. Czekaliśmy na deszcz, który dąłby chociaż chwilę wytchnienia. Ale padał nader rzadko; raz lub dwa w czasie lata. Natomiast w zimie śnieg padał często, za często. W lecie niemiłosiernie prażyło słońce. Któregoś lata, gdy susza zaczęła zagrażać zbiorom, miejscowe władze zezwoliły na modły. Kazachowie, mahometanie, złożyli nawet zbiorową ofiarę z barana. Praktyki religijne odbywały się w domach, władze o nich chyba nie wiedziały i zapewne dlatego nie interweniowały. Polacy modlili się zbiorowo w mieszkaniach prywatnych, nie afiszowali się. Względny spokój w tym względzie był chyba dlatego, że na fermach nie było stałych ekspoztur NKWD. Bywali tu tylko przejazdem, w czasie rutynowych patroli. Gdy nadjeżdżał NKWD-ysta, wszyscy, dosłownie wszyscy, uciekali, gdzie kto mógł, jak do zarazy. Uciekali nie tylko Kazachowie ale i Polacy. Spotkanie z nim nie mogło przynieść nic dobrego.

Kazachowie mieli też swoich mułków. Było to widoczne na wiosnę, kiedy to dokonywano obrzezania chłopców, w prymitywnych zresztą warunkach. Zdarzały się liczne przypadki zakażeń, wysokie temperatury a nawet i przewlekłe choroby. Rany zasypywano popiołem drzewnym a to powodowało dalsze komplikacje. Znany był wypadek obrzezania 19-toletniego Niemca, który chciał ożenić się z kazachską dziewczyną i musiał tego dokonać, bo taki jest wymóg Koranu. W tym czasie na naszej fermie była Niemka, lekarz weterynarii, której władze zabroniły

leczyć zwierzęta. Pozwolono jej pełnić funkcję zootechnika a ja, woźnica, miałem ją wozić. Ona to leczyła obrzezanego rodaka, Niemca, bardzo go za to sztorcując. W tym czasie na te tereny, w związku z wojną z Niemcami, ^(PRZEUCIEZIOPPO) wielu Turkmenów, Czeceńców i innych, którzy bardzo źle znosili tutejszy klimat. Umierali powszechnie. W ciągu jednego tylko roku zapełnili cały miejscowy cmentarz.

W 1943-cim roku, gdy powstał w ZSRR Związek Patriotów Polskich, otwarto na naszej farmie polską szkołę, która mieściła się w chlewie. Uczęszczały do niej wszystkie niepracujące dzieci z miejscowości odległych nawet i 15 km. Każdy z nas otrzymał zeszyt, ołówek i gumkę. Mnie zapisano do czwartej klasy. Nauka trwała bardzo krótko, tylko do zimy. W następnym roku, gdy ponownie uruchomiono szkołę, mnie znowu zapisano do czwartej klasy. Kiedy w kolejnym roku po raz trzeci zapisano mnie do czwartej klasy - zbuntowałem się i to z pomyślnym rezultatem; zapisano mnie wreszcie do klasy piątej. W tej, pożałuj się Boże, szkole spotykałem miejscowych chłopców w wieku 17-tu lat, którzy po raz kolejny rozpoczynali pierwszą klasę.

O wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej dowiedzieliśmy się na wiecu, który specjalnie w tym celu zwołano. Wiadomość tę miejscowi Kazachowie przyjęli bardzo spokojnie, niemal obojętnie. Wieli z nich uchylało się od służby wojskowej dając sowite łapówki funkcjonariuszom miejscowych władz. W grę wchodziły owce, konie i krowy. Urzędnicy zawsze znaleźli jakiś powód aby opłacającego się delikwenta wyłączyć z poboru. Zresztą Kazachowie czekali na Niemców z nadzieją, że będzie lepiej. Wielu z nich przed 1917-tym rokiem było ludźmi bogatymi i teraz liczyło na zwrot swojej własności, zwłaszcza ziemi. Często dopytywali się, czy Niemcy są daleko i czy już

minęli Moskwę.

Słów kilka na temat mojego ojca, którego - jak wspomniałem - aresztowano 9 stycznia 1940-go roku. Przebywał w więzieniach kolejno w Białymstoku, Brześciu i wreszcie w Moskwie w Krasnoj Presni, tiuma nr 4.0 jego losach nic nie wiedzieliśmy. Na Syberii Mama napisała list na pocztę w Supraślę podając nasz syberyjski adres na wypadek, gdyby ojciec się odezwał. I tak się stało. Na poczcie pracowała znajoma i gdy otrzymała te listy, nadała sprawie bieg. Stało się dosłownie na kilka dni przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej. Pamiętam, że pierwszy list nadszedł do nas w lipcu 1941-go roku. Ojciec, siedząc w więzieniu moskiewskim, był sądzony za pracę w policji, przynależność do POW oraz z jakiegoś oskarżenia chłopów z Jałówki. Ten statni wątek nie jest mi w ogóle znany. Otrzymał wyrok 8 lat, bo w tym dniu akurat takie wyroki ferował "sąd" i został zesłany do Komi SSR za koło polarne. Więzienie moskiewskie było pokazowe, często odwiedzane przez Czerwony Krzyż. Gdy przyjeżdżała delegacja, zaczynało się istne przedstawienie: przydzielano nam pościel, koce a nawet białe obrusy. Gdy tylko delegacja wyjeżdżała, wszystko natychmiast zabierano. Nasze listy do ojca docierały wszystkie ale od ojca pierwszy list dotarł do nas dopiero w lecie 1941-go roku tj. po podpisaniu umowy Sikorski - Majski. Nadal sądziliśmy, że ojciec jest w więzieniu w Moskwie, chociaż go już tam dawno nie było. Po podpisaniu umowy i ogłoszeniu "amnestii" ojciec miał dwie możliwości: albo iść do wojska Andersa albo połączyć się z rodziną. Wybrał to drugie. Przyjechał do nas późnym latem 1941-go roku i natychmiast wysłano go do pracy. W styczniu grupa polskich wojskowych z upoważnienia gen. Andersa objeżdżała okoliczne miejscowości i napotkanym tam Polakom wręczała karty powołania. Z naszej farmy tylko ojciec otrzymał taką kartę. Kiedy już miał

odjeżdżać, odbył kilka spotkań z chłopcami-Polakami, którzy mieli po 17-18 lat i nie mogli być przyjęci do wojska, chociaż bardzo tego chcieli. Dziś można tylko domyślać się, o czym mówiono na tych spotkaniach. Wiadomo na pewno, że w przeddzień wyjazdu ojca młodzież znikła. Nadbrzeżnymi szuwarami nad Irtyszem przekradła się do Pawłodaru. Tu ojciec starał się włączyć ją do eszelonu ale w sprawę wdało się NKWD. Powstał nie mały huczek, bo kilkunastu młodych chłopców to niemały ubytek siły roboczej na fermie. Ale jakoś udało się i młodzi chłopcy pojechali do wojska.

Oficerowie z Armii Andersa mieli prawo zabrać ze sobą określoną ilość rodzin. Ojciec, sierżant, takiego prawa nie miał. Będąc już w wojsku poprosił jednego z oficerów, który jechał w okolice Pawłodaru i mógł zabrać jedną rodzinę aby ~~ten~~ zabrał nas. Oficer był w Pawłodarze, zabrał inną rodzinę. Po nas nawet nie zajechał.

Ojciec przez Iran, Monte Cassino dotarł do Anglii. Po wojnie wrócił do Polski. Już nie żyje.

Po ewakuacji armii Andersa z ZSRR wzmogły się naciski władz sowieckich na pozostałych Polaków w sprawie przyjmowania obywatelstwa radzieckiego. Proponowano i grożono. Moja mama i p. Marecka za swój upór były nawet aresztowane. Inni, słuchając zapewnień, że otrzymają lepsze warunki, godzili się na to. Polakom zamieszkałym przed deportacją na Białorusi wmawiano, że są Białorusinami i tym samym powinni, mają wręcz obowiązek, przyjęć sowieckie obywatelstwo. Podobnie traktowano Polaków z Ukrainy. Np. p. Czerwińska, żona kapitana urodziła się Kiszyniowie, przyjęła obywatelstwo radzieckie jako Mołdawianka. Inni jednak nadal trwali w swoim uporze. Tych trzymano w więzieniu, głodzono, straszono pistoletami. ~~Am~~ dzieci, siedzieliśmy przed więzieniem i płakaliśmy. Do prawdziwej tragedii doszło

w 1946-tym roku, kiedy otrzymaliśmy pozwolenie na powrót do Polski. Ci, którzy tak niefrasobliwie lub pod wpływem zastraszenia przyjęli sowieckie obywatelstwo, kart repatriacyjnych nie otrzymali. Od tamtego czasu dobrze wiem, co znaczy rozpacz i Wyrwanie włosów z głowy. Np. p. Czerwińska odchodziła od zmysłów. Chyba do Polski nie wróciła.

Wkrótce, w 1943-cim roku rozpoczął się nabór do wojska Berlinga, któremu patronował ZPP. Z naszej fermy poszli dwaj Stasiewiczowie, którzy do Andersa iść nie chcieli ale teraz, pod wpływem pogarszających się warunków życia poszli bardzo chętnie. W atmosferze wyjazdu do Wojska Polskiego władze sowieckie dopuściły się kolejnej podłości wobec polskiej młodzieży. Jeździła grupa wojskowych zachęcając do wyjazdu do Wojska Polskiego. Chętnych było sporo, zarówno młodych chłopców jak i dziewczyn. Tylko nieliczni zwrócili uwagę, że grupa mobilizacyjna składa się z samych Rosjan. To nie był przypadek. Młodzież, która się spontanicznie zgłosiła do Polskiego Wojska, zawieziono do Karagandy i zagoniono do pracy w kopalni węgla. Nielicznym udało się uciec i stąd wiadomości o tym.

ZPP starał się utrzymywać więź z rozproszonymi Polakami. Służyły temu tanie wydawnictwa literackie podstawowych pozycji, m.in. Dzieł Mickiewicza.

Po zakończeniu działań wojennych coraz częściej mówiono o możliwości powrotu do Polski. Pierwsze transporty ruszyły w kwietniu 1946-go roku. Na naszym terenie, na miesiąc przed wyjazdem, dokonano szczepień przeciw czerwonce, cholercie i tyfusowi. Szepiono pod pachę, bardzo boleśnie. Wszyscy to przechorowaliśmy a u niektórych temperatura dochodziła do 40-tu stopni. Ja, mimo temperatury nadal jeździłem z zootechnikiem, chociaż to ona mnie wozila, bo ja leżałem złożony temperaturą.

Na dwa dni przed wyjazdem zwolniono nas z pracy i pozwolo-

no pakować się. Wyglądało to na szyderstwo, bo co tu można było zapakować. Przecież nic nie mieliśmy, przez sześć lat klepaliśmy biedę. Ten wolny czas przeznaczaliśmy na spotkania, bo jakiś przyjaźnie czy bliższe znajomości pozawieraliśmy. Część rzeczy zostawialiśmy, bo wiedzieliśmy, że nam w Polsce nie będą potrzebne a tutejszym ludziom bardzo się przydadzą.

Polki w większości były zatrudnione w biurach. Prowadziły księgowość, gospodarke materiałową. Dyrektor fermy był zmartwiony tym, że wyjeżdżają. Ale zachował się przyzwoicie: zwołał zebranie, na którym osobiście podziękował Polakom za pracę i życzył szczęścia w przyszłości. Kazał podstawić fury do przewiezienia Polaków do przystani rzecznej nad Irtyszem, skąd miał nas zabrać statek. Kilku rodzinom, m.in. i nam dał nawet samochód do przejazdu.

Na przystani czekaliśmy pod gołym niebem, na polu, przez cały tydzień. Statki wprawdzie przejeżdżały ale tak zapełnione, że nie mogły nas zabrać. Aż wreszcie po tygodniu jeden ze statków zlitował się nad nami i zabrał nas. Odległość 200km pokonaliśmy w cztery dni.

Tu kolejne oczekiwanie na transport kolejowy. Wybrano mężów zaufania /m.in. takim mężem zaufania została moja matka/, którzy mieli za zadanie pobierać żywność na drogę: 5kg żeberek solonych, 10kg chleba. Posiadane ubrania wymienialiśmy na masło i sól, której w tych akurat okolicach było zatrzęsienie. W pobliżu były słone jeziora. W ich pobliżu zdejmowano metrową warstwę soli gorzkiej a pod spodem głębokimi pokładami zalegała krystalicznie czysta warstwa tej przyprawy. Braliśmy ją ile się dało bo nam mówiono, że w okolicach Moskwy soli brakuje i że tam dostaniemy za nią dobrą cenę. Tak się zresztą stało.

O naszej obecności nad Irtyszem dowiedziała się UNRA. Z tych przydziałów otrzymaliśmy trochę konserw. To właśnie wówczas po raz pierwszy spróbowałem makreli. Otrzymaliśmy też nieco mleka zagęszczonego. Rozdzielający te dary kradli oraz dzielili się z miejscowymi władzami a nie z Polakami.

Wreszcie podstawiono transport, bydłące wagony. Były one takie same jak przed sześcioma laty z tą jednak różnicą, że nikt nas nie pilnował. Jazda odbywała się więc w nieco innej atmosferze. Pociąg zatrzymywał się przed stacjami, najczęściej w stepie. Nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy ruszy w dalszą drogę. Często musieliśmy przerywać przyrządzanie posiłku. Lokomotywa szarpała niemilosierdzie.

Przez dwa dni zatrzymaliśmy się w Moskwie. Nie pamiętam kiedy to było. Wiem, że zbiegło się to akurat z pogrzebem Kałina. Zwiedziłem okolice Kremla. Kupowaliśmy chleb po 11 rubli. Trzykrotnie stawaliśmy po niego w kolejce. Sprzedawano go po kilogramie. Pamiętam, że był wyjątkowo czarny. Chciałem też wejść do metra, ale stojąca przy wejściu strażniczka nie wpuszczała mnie dlatego, że byłem w sandałach. Wróciłem, nałożyłem walonki. Znowu mnie zawróciła. Trzecią próbę podjąłem w trzewikach brata. Nareszcie udało się.

Dłuższy postój mieliśmy w Brześciu. Tu nas policzono, można też było dokonać wymiany rubli na polskie złote, które tu po raz pierwszy zobaczyłem. Pop w cerkwi odprawiał nabożeństwo a wiedząc o naszej obecności w serdecznych słowach zwrócił się do nas jako do Polaków. Było to w owych czasach aktem dużej odwagi osobistej.

Pamiętam też przejazd przez Siedlce. Na placu koło stacji kolejowej burzono pomnik J. Piłsudskiego. Dokonywali tego wię-

źniowie pilnowani przez strażników więziennych oraz policję. W pobliżu stali niemi widzowie.

Nasz eszelon kierowano na Szczecin. Nie wiedzieliśmy, co mamy robić, ponieważ nie wiedzieliśmy, czy mamy po co wracać do Supraśla. Ponieważ dowiedzieliśmy się, że pociąg pojedzie przez Łódź, w której mieszkała rodzina ze strony ojca, mama wsiadła do innego pociągu i wyprzedzając nasz transport pojechała właśnie tam. Kiedy i my dotarliśmy na stację Łódź-Chojny, czekała na nas mama oraz wujek z synem. Tu wysiedliśmy. Było to gdzieś około 15 czerwca 1946 roku, gdyż po dwóch tygodniach odbyło się referendum ludowe "3 razy Tak", które odbyło się 30-go czerwca.

Postanowiliśmy wracać do Supraśla. Po drodze, a właściwie na dworcu w Białymstoku obserwowaliśmy zjawisko zaciemnienia słońca. W Supraślu okazało się, że nasz dom jest zajęty przez lokatorów. Przez rok mieszkaliśmy "kątem" u obcych ludzi, zanim zwolniło się mieszkanie w naszym domu. W lipcu 1947-go roku wrócił ojciec. Musiał się meldować na posterunku milicji jak przestępca. Mnie i bratu podczas drogi do szkoły bardzo często przetrząsano teczki w poszukiwaniu broni. Taka to była ówczesna polska rzeczywistość.

Poszedłem do szkoły. Nauka odbywała się systemem semestralnym. Ukończyłem Liceum Spółdzielcze i poszedłem na studia do Częstochowy, gdzie przeżyłem śmierć Stalina. Kolega, z którym mieszkalem w akademiku przybiegł uradowany: Stalin nie żyje. Musiałem go uspokajać, że to jeszcze niewiele znaczy. Nazajutrz dowiedzieliśmy się o przemianowaniu Katwic na Stalinogród. Na uczelni żałobny wiec, na którym najwięcej łez wylewali członkowie ZMP. W 1956 roku wróciłem do Białegostoku. Do dziś pracuję w Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej.

ПОПОЧАЇ СПАМІНАУ СІАНКО